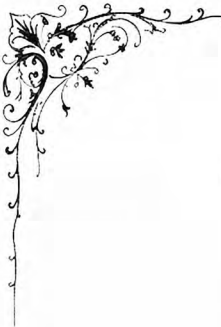


An illustration of Sherlock Holmes in a dark, stormy landscape. He is wearing a brown checkered coat, a red scarf, and a brown deerstalker hat. He is holding a magnifying glass in his right hand and a smoking pipe in his left. In the background, a large, dark, and menacing werewolf with glowing red eyes stands on a rocky outcrop. A full moon is visible in the sky, and a large, dark, and imposing castle is situated on a hill in the distance. The scene is framed by ornate, golden, Art Nouveau-style corner decorations.

SHERLOCK HOLMES

Pies
Baskerville'ów

ARTHUR CONAN DOYLE



ARTHUR CONAN DOYLE

SHERLOCK HOLMES

**Pies
Baskerville'ów**

Rozdział I

Pan Sherlock Holmes

Pan Sherlock Holmes zwykł wstawać późno, o ile nie czuwał przez całą noc, a zdarzało mu się to nieraz. Otóż owego dnia wstał wyjątkowo wcześniej. Jadł śniadanie. Stałem przy kominku. Schyliłem się i podniosłem laskę, którą nasz gość zostawił wczorajszego wieczoru. Był to kij gruby, z dużą gałką, utoczoną z drewna; pod gałką była srebrna obrączka, a na niej napis: „Jakubowi Mortimerowi M. R. C. S. od przyjaciół C. C. H.”, pod spodem zaś data: „r. 1884”. Taką laskę staroświecką, mocną, zapewniającą bezpieczeństwo, zwykli nosić starzy lekarze.

– No, i cóż, Watson? Co pan myślisz o tej lasce? Jakie wyprowadzasz wnioski? – zapytał.

Holmes siedział, odwrócony do mnie plecami; widzieć mnie nie mógł, a ja zachowywałem się tak cichutko, że nie mógł domyślić się, czym jestem zajęty.

– Masz pan chyba oczy z tyłu głowy... – rzekłem.

– Mam przed sobą srebrny imbryk – odparł – ale powiedz mi, Watson, co myślisz o lasce naszego gościa? Skoro nie zastał nas w domu i nie wytłumaczył celu swych odwiedzin, ta mimowolna pamiątka nabiera wielkiego znaczenia. Chciałbym też wiedzieć, jakie pojęcie tworzysz sobie o tym człowieku?

– Sądzę – odparłem, trzymając się metody dociekań mojego towarzysza – że doktor Mortimer jest lekarzem średniego wieku, zazwyczajnym szacunku; dowodzi tego ów upominek pacjentów.

– Dobrze, wybornie! – pochwalił mnie Holmes.

– Sądzę dalej, że jest lekarzem prowincjonalnym i że po większej części odwiedza chorych pieszo.

– Dlaczego tak pan przypuszczasz?

– Bo laska, choć pierwotnie ładna, jest tak zniszczona, że żaden lekarz miejski nie chciałby jej używać. Grube okucie żelazne starło się, co dowodzi, że laska była w częstym użyciu.

– Słuszne rozumowanie – przytwardził Holmes.

– A dalej, napis od przyjaciół z C. C. H. świadczy, że lekarz niósł pomoc członkom jakiegoś klubu myśliwskiego (Hunting Club).

– Istotnie, Watson, przechodzisz sam siebie – rzekł Holmes, zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że pańskie wnioski są słuszne. Mam pojętego ucznia. Wyświetliłeś kilka punktów zupełnie ciemnych.

Nigdy jeszcze Holmes nie odzywał się do mnie w sposób tak pochlebny. Cieszyłem się z jego uznania, na które od dawna już usiłowałem zasłużyć, stosując jego metodę badań w sprawach kryminalnych.

Po chwili milczenia, odebrał mi laskę i przypatrywał jej się gołym okiem. Następnie odłożył papierosa, odszedł z laską do okna i począł jej się przyglądać przez szkło powiększające.

– Ciekawe, bardzo ciekawe... – rzekł, wracając na swoje ulubione miejsce przy kominku.

– Czy pan dopatrywał się jakiego nowego szczegółu, mogącego służyć za wskazówkę? – spytałem, spodziewając się, że nic ważnego nie uszło mojej baczności.

– Zdaje mi się, mój drogi Watsonie, że prawie wszystkie twoje wnioski były mylne. Pod jednym tylko względem miałeś słusność, a mianowicie, że posiadacz tej laski jest doktorem prowincjonalnym i że dużo chodzi.

– A więc nie omyliłem się?

– Na tym punkcie – nie.

– A na innych?

– Inne wywody były fałszywe. I tak, na przykład, twierdzisz, że laska jest darem jakiegoś prowincjonalnego klubu myśliwskiego. Ja przypuszczam, że ofiarowali ją lekarzowi pensjonariusze szpitala Charing Cross (C. C. H.).

– Przyznaję, że to jest prawdopodobniejsze. Jaki pan stąd wyprowadza wnioski?

– Znana jest panu moja metoda badania. Zastosuj ją w praktyce.

– Mogę to tylko wywnioskować, że przed osiedleniem się na wsi, ten lekarz praktykował w mieście.

– Sądzę, że możemy posunąć się jeszcze dalej na drodze przypuszczeń. Ten dar został wręczony w chwili, gdy doktor Mortimer opuszczał szpital, aby rozpocząć praktykę na własną rękę.

– Prawdopodobnie.

– Jakież mógł on zajmować stanowisko w tym szpitalu? Albo lekarza ordynującego, albo studenta-praktykanta. Zapewne to ostatnie, bo doktor szpitalny, z wyrobioną opinią i liczną praktyką, nie opuszcza zajmowanej pozycji, aby się przesiedlać na prowincję. Doktor Mortimer opuścił szpital przed laty pięciu, jak to wskazuje data na lasce. W owym czasie ukończył zapewne uniwersytet, a więc upada pański wniosek, iż jest człowiekiem średniego wieku. Doktor Mortimer ma lat trzydzieści niespełna, jest uprzejmym, dobrym, niezbyt ambitnym, roztargnionym. Ma psa trochę większego od jamnika, a mniejszego od wyżła.

Roześmiałem się niedowierzająco. Holmes zasiadł wygodnie w fotelu i puszczał kłęby dymu.

– Nietrudno będzie przekonać się, który z nas dwóch ma rację – rzekłem, zbliżając się do szafki bibliotecznej i wyjmując z niej kalendarz z wykazem lekarzy angielskich oraz ich życiorysem. Spośród wielu Mortimerów, jeden tylko mógł być tym, o którego nam chodziło. Odczytałem głośno:

„Mortimer Jakub, lekarz powiatowy w Grimpen, Dartmoor, hrabstwo Devon. Był studentem-praktykantem w szpitalu Charing Cross od r. 1882 do 1884. Otrzymał nagrodę Jacksona za studium z zakresu patologii porównawczej, zatytułowane: »Czy choroba jest zboczeniem?«. Jest członkiem szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego, autorem wielu artykułów, jako to: »Kilka przykładów atawizmu« (drukowany w »Lancet« w r. 1882), »Czy idziemy z biegiem postępu?« (»Dziennik Psychologiczny«, 1883). Jest lekarzem powiatowym gmin Grimpen, Thorsley i High Barrow”.

– Widzisz pan, że miałem słuszość – rzekł Holmes. – Obstać dalej przy moich hipotezach, że doktor Mortimer musi być uprzejmy,

bo tylko człowiek uprzejmy dostaje takie upominki od swoich pacjentów; że nie jest ambitny, bo inaczej nie opuszczałby Londynu dla prowincji, i że jest roztargniony, bo w razie przeciwnym, zamiast laski, zostawiłby swój bilet wizytowy.

– Jakież są pańskie wnioski co do psa?

– Jego pies zwykł nosić laskę w zębach; ponieważ laska jest ciężka, więc ją trzyma pośrodku; w tym miejscu znać ślady psich zębów. Zęby są za duże na jamnika, za małe na wyżła. To może być... tak, to jest pinczer.

Holmes przeszedł przez pokój i stanął we framudze okna. W głosie jego było tyle głębokiego przekonania, że nie mogłem się wstrzymać, aby go nie zapytać.

– Skąd taka pewność?

– Dla bardzo prostej przyczyny, że mam tego psa przed oczyma; stoi za tymi drzwiami, a jego właściciel w tej chwili właśnie do nich dzwoni. Proszę cię, Watson, nie wychodź z pokoju. Jest pańskim kolegą¹, i pańska obecność może mi być przydatną. Nadchodzi ważna chwila. Zbliżają się kroki, które mogą stanowić o przeznaczeniu – złym czy dobrym – nie wiadomo. Ciekaw jestem, czego doktor Jakub Mortimer zażąda od Sherlocka Holmesa, specjalisty od przestępstw kryminalnych... Proszę!

Do pokoju wszedł nasz gość. Jego powierzchnowość zdziwiła mnie bardzo. Nie wyglądał na prowincjonalnego lekarza. Był wysoki, szczupły, miał nos wąski, wysuwający się ostro spomiędzy oczu przenikliwych, zasłoniętych ciemnymi okularami w złotej oprawie. Ubrany był w długi, poplamiony surdut, spodnie miał wystrzępione. Choć jeszcze młody wiekiem, był już przygarbiony; na jego twarzy malowała się dobra wola względem ludzi. Wchodząc, zobaczył od razu laskę w ręku Holmesa i podbiegł ku niej z okrzykiem radości.

– Tak się cieszę! – zawołał. – Nie byłem pewny, czym ją zostawił tutaj, czy w biurze portowym. Gdybym ją zgubił, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

– Wszak to prezent? – rzekł Holmes.

1 jest pańskim kolegą – tu w znaczeniu: kolegą po fachu; nie znają się osobiście.

- Tak, panie.
- Od pensjonariuszy hotelu Charing Cross...
- Tak, od paru pacjentów. Dali mi ją na pamiątkę mojego ślubu.
- Szkoda – rzekł Holmes, ściskając mu rękę.
- Czego pan żałuje? – spytał doktor Mortimer ze zdziwieniem.
- Szkoda, że pan rozproszył moje wnioski – brzmiała odpowiedź. – A więc powiadasz pan, że to podarek ślubny?
- Tak, panie. Ożeniłem się i dlatego musiałem szpital opuścić; trzeba było założyć dom, postarać się o praktykę samodzielną.
- No i teraz zyskujesz pan sobie sławę na polu nauki – rzekłem.
- Wszak mam przyjemność mówić z panem Sherlockiem Holmesem?
- Nie, to mój przyjaciel, doktor Watson.
- Miło mi pana poznać. Słyszałem o panu nieraz. Pozwoli mi pan, panie Holmes, zbadać swoją czaszkę. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że jest niezwykła: zdradza zdolności, rzekłbym nawet – geniusz dedukcyjny. Taka czaszka byłaby ozdobą każdego muzeum. Przyznaję, że jej panu zazdroszczę.
- Jesteś pan entuzjastą w swoim zawodzie, tak jak ja w swoim – odparł detektyw – ale sądzę, że nie przybywasz pan tu po raz wtóry jedynie w zamiarze zbadania mojej czaszki...
- Nie, panie, choć rad jestem, że zdarza mi się sposobność ku temu. Przybyłem do pana, panie Holmes, bo uznaję własną niepraktyczność, a jestem postawiony wobec bardzo trudnego zagadnienia. Ponieważ pan jesteś drugim w Europie ekspertem w sprawach kryminalnych...
- Doprawdy? Czy wolno mi zapytać, kto jest pierwszy?
- W oczach człowieka przekładającego teorię nad praktykę, pan Bertillon zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce.
- Więc czemuż pan nie zwróci się do niego?
- Powiadam, że jest on pierwszorzędny powagą jako teoretyk. Ale pan, jako praktyk, zajmujesz pierwsze w Europie – to niewątpliwie. Spodziewam się, że pana nie obraził...
- Trochę – odparł Holmes na wpół żartem – ale jako człowiek praktyczny, chciałbym nareszcie dowiedzieć się, co pana tutaj sprowadza.

Rozdział II

Przekleństwo rodu Baskerville'ów

- Mam w kieszeni rękopis – rzekł doktor Jakub Mortimer.
 - Spostrzegłem to od razu, gdyś pan wszedł do pokoju – odparł Holmes.
 - Manuskrypt jest stary.
 - Z osiemnastego wieku.
 - Skąd pan wie?
 - Z pańskiej kieszeni wychodzi pół cala papieru. Przyglądałem mu się, podczas gdyś pan mówił, a byłbym lichym rzeczoznawcą, gdybym z zewnętrznego wyglądu nie potrafił określić daty rękopisu. Czytałeś pan zapewne moją monografię w tym przedmiocie. Otóż w tym wypadku sądzę, że manuskrypt datuje się z roku tysiąc siedemset trzydziestego.
 - Omyliłeś się pan o lat dwanaście. Datowany jest z roku tysiąc siedemset czterdziestego drugiego.
- Doktor Mortimer wyjął go z kieszeni.
- Ten dokument rodzinny został powierzony mojej pieczy przez sir Karola Baskerville'a, którego śmierć tragiczna poruszyła przed trzema miesiącami całe Devonshire. Dodam, że byłem jego osobistym przyjacielem, zarówno jak lekarzem domowym. Był to człowiek dzielny, rozumny, praktyczny i tak samo jak ja, nie podlegający złudzeniom wyobraźni. A jednak wierzył świącie słowom tego dokumentu i był przygotowany na rodzaj śmierci, który go spotkał...
- Holmes wyciągnął rękę po manuskrypt i począł mu się bacznie przyglądać.
- Zwracam pańską uwagę, Watson, na kolejne używanie krótkiego i długiego s. Jest to jedna ze wskazówek, która mi pomogła do określenia daty.

Spojrzałem przez ramię na papier, położyłki ze starości. Na pierwszej stronie był nagłówek: „Baskerville Hall”, a pod spodem data: „1742”.

– To zapewne potwierdzenie jakiejś legendy – wtrącił Holmes.

– Rzeczywiście – przyznał doktor Mortimer. – Legenda tyczy się rodu Baskerville'ów.

– Przypuszczam jednak, że pragniesz pan zasięgnąć mojej rady w sprawie aktualniejszej i bardziej realnej – rzekł Holmes.

– Tak. Chodzi mi o fakt zagadkowy, który zdarzył się niedawno; muszę rozstrzygnąć zagadkę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale manuskrypt jest krótki i ma ścisły związek z tą sprawą. Zatem odczytam go panu, jeśli pan pozwoli.

Holmes skinął głową. Zasiadł wygodnie w fotelu, złożył ręce tak, że palce stykały się z palcami, przymknął oczy i słuchał z rezygnacją.

Doktor Mortimer podsunął manuskrypt pod światło i głosem dobitnym czytał, co następuje:

– „Rozmaite pogłoski krążyły o Psie Baskerville'ów, lecz ja, pochodząc w prostej linii od Hugona Baskerville, słyszałem tę historię z ust mojego ojca, który znowu słyszał ją od swojego, więc ją spisuję z całą wiarą. Pragnąłbym, abyście i wy, moi synowie, nabrali głębokiego przekonania, że Sprawiedliwość, karcąca winę, może ją odpuścić, i że żadna kara nie jest tak ciężką, aby modlitwa i pokuta nie zdołały jej zatrzeć. Niech te dzieje nauczą was, że nie należy bać się owoców przeszłości, lecz raczej być ostrożnym na przyszłość, aby dzikie chucie, za które nasz ród poniósł tak srogą karę, nie rozkiełznały się znowu na naszą zgubę.

Dowiedzcie się więc, że za czasów Wielkiej Rewolucji (polecam wam przeczytać dzieje tej epoki, skreślone przez lorda Clarendona), w zamku Baskerville rządził Hugon, a był to, przyznać muszę, człowiek porywczy i bezbożnik.

Sąsiedzi przebaczyliby łatwo to ostatnie wykroczenie, bo nasza okolica nie słynęła nigdy z religijności, ale nie mogli mu przebaczyć wrodzonego okrucieństwa.

Otóż ów Hugon pokochał (jeśli można tym mianem nazwać tak dzikie uczucie), pokochał zatem córkę czynszownika², dzierżawiącego

2 czynszownik – tu w znaczeniu: osoba dzierżawiąca (wynajmująca) grunt pod gospodarstwo rolne.

grunta w pobliżu dóbr Baskerville. Ale dziewczyna, będąc skromną i bogobożną, obawiała się go jak szatana. Otóż pewnego wieczora na jesieni, w dzień świętego Michała, ów Hugon na czele pięciu czy sześciu kompanów zakradł się do farmy i uprowadził dziewczynę, korzystając z chwili, gdy ojciec i bracia jej byli nieobecni.

Przywieźli biedaczkę na zamek i osadzili ją w komnacie wieżowej, Hugon i jego towarzysze zasiedli do nocnej uczty, wedle zwyczaju. Słyszając ich pijackie wrzaski, dziewczyna truchlała, lecz była z natury dzielną, więc opanowała strach i postanowiła ratować się. Ogromna brzoza osłaniała i do dziś dnia osłania okno tej narożnej komnaty. Dziewczę uczepiło się jej gałęzi i spuściło się na nich na dół, a dostawszy się na swobodę, łąkami i polami biegło do farmy swego ojca, oddalonej o trzy mile od zamku.

Wkrótce potem Hugon, zostawiwszy swoich kompanów przy butelkach i kartach, podążył do swojej ofiary, a widząc, że ptaszek opuścił klatkę, jak szalony powrócił do komnaty biesiadnej, wytłukł szkło i wśród okropnych przekleństw i złorzeczeń zaprzysiągł, że odda ciało i duszę diabłu, jeśli ten dopomoże mu odzyskać dziewczynę. Pijani towarzysze słuchali go w przerażonym milczeniu, tylko jeden, gorszy, a może bardziej pijany od innych, poddał myśl, aby za dziewczyną puścić psy podwórzowe.

Słyszając to, Hugon wybiegł przed dom, zwołał chłopców stajennych, kazał im osiodłać swoją klacz ulubioną i spuścić psy z łańcuchów; jednemu, najdzikszemu, dał do powąchania chustkę dziewczyny, zostawioną w narożnej komnacie, i popędził przez łąki w noc księżycową.

Towarzysze hulanki rzucili się do koni, chwycili pistolety i pognali za swoim amfitrionem³, a było ich razem trzynastu. Księżyc świecił jasno, pędził galopem drogą, którą musiała uciekać dziewczyna, jeśli podążyła do domu.

Ujechali z półtorej mili, gdy spostrzegli nocnego pastucha. Pytali go, czy nie widział brytanów. Wystraszony odparł, że przed chwilą biegły za jakąś dziewczyną.

3 amfitrion – gościnny pan domu, fundator przyjęcia.

– Ale widziałem coś więcej – mówił. – Hugon Baskerville pędził tędy na swojej karej klaczy, a za nim leciał jakiś pies okropny, czarny, jakby szatan wcielony. Niech mnie Bóg broni, żebym kiedy jeszcze miał spotkać podobnego potwora na mojej drodze.

Pijani towarzysze cisnęli pastuchowi przekleństwo i pognali na przód. Ujechali jeszcze z pół mili. Nagle włosy stanęły im dębem ze strachu, bo oto przed nimi pędziła klacz kara, pokryta pianą, bez siodła i bez jeźdźca.

Towarzysze zbili się w gromadkę, bo ich strach oblatywał, lecz jechali dalej, choć każdy z nich, gdyby był sam, zawróciłby konia i uciekł do zamku, ale jeden wstydził się drugiego. Człapiąc wolno, zrównali się wreszcie z brytanami; te, choć znane w całej okolicy ze swej zajadłości, leżały teraz w rowie wystraszone i były przeraźliwie.

Kompania zatrzymała się. Jeźdźcy otrzeźwiali od razu. Jedni chcieli zawracać, drudzy postanowili przekonać się, co zaszło. Księżyc świecił tak jasno, że można było szpilki zbierać.

O milę dalej, na polu, sterczały wysokie kamienie. Pomiędzy nimi leżała dziewczyna, martwa, a obok niej Hugon Baskerville – nieżywy.

Ale nie ten widok, choć straszny i niespodziany, najeżył włosy pijackiej kompanii; straszniejszy obraz przedstawił się ich oczom: nad zwłokami Hugona stał pies czarny, ogromny, wyszczerzał zęby i błyskał ślepiami. Jeden z towarzyszów padł na miejscu, rażony strachem, drugi utracił zmysły, reszta hulaszczęj kompanii do końca życia nie zapomniała tego wrażenia.

Taką jest, moi synowie, legenda o psie, który od owego czasu trapił naszą rodzinę. Spisałem ją, abyście wiedzieli, jak się rzeczy istotnie miały, i nie wierzyli krążącym baśniom. Nie będę tał przed wami, że po tym wypadku wielu mężczyzn w naszym rodzie umarło śmiercią nagłą, krwawą i tajemniczą. Jednak nie traćmy wiary w miłosierdzie Boskie, które karci niewinnych tylko do trzeciego lub czwartego pokolenia. Opatrzności Boskiej, moi synowie, was polecam i ostrzegam, abyście nie przechodzili przez tę łąkę po nocy, gdy te duchy są rozkiełznane”.

(To są przestrogi Hugona Baskerville, spisane dla jego synów, Rogera i Jana, z rozkazem, aby o tym wszystkim nie wspominali swojej siostrze, Elżbiecie).

Doktor Mortimer skończył czytać tę niezwykłą opowieść, nasunął na oczy okulary i spojrzał na pana Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął i rzucił papierosa w ogień.

– No i cóż? – rzekł.

– Czy historia ta nie jest interesująca?

– Zapewne dla zbieracza starych legend i baśni.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni gazetę.

– A teraz, panie Holmes – rzekł – pokażę panu coś aktualniejszego. Oto dziennik „Devon County Chronicle” z dnia czternastego maja roku bieżącego. Jest w nim opis faktów, odnoszących się do śmierci Karola Baskerville, która zdarzyła się na kilka dni przed ową datą.

Mój przyjaciel nachylił się i począł słuchać uważnie. Doktor Mortimer czytał:

– „Niedawna i nagła śmierć sir Karola Baskerville, kandydata liberalnego z hrabstwa Devon, przejęła całą naszą okolicę zdumieniem i trwogą. Jakkolwiek sir Karol Baskerville mieszkał w Baskerville Hall od niedawna, lecz jego uprzejmość, hojność i szlachetność zjednały mu szacunek tych wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia. W dzisiejszej epoce parweniuszów miło jest widzieć potomka starożytnego a podupadłego rodu, odzyskującego fortunę swych przodków i przywracającego świetność staremu nazwisku.

Sir Karol, jak wiadomo, zyskał duży majątek na spekulacjach w Afryce Południowej, a będąc z natury przezornym, nie kuśił dalej szczęścia, które mogłoby się odwrócić od niego, jak to czyni z innymi, i zrealizowawszy swoją fortunę, powrócił do Anglii.

Przed dwoma laty zaledwie osiadł w Baskerville Hall; znane są jego szerokie plany odnowienia starej siedziby i wprowadzenia

ulepszeń w gospodarstwie rolnym. Śmierć przeszkodziła ich urzeczywistnieniu.

Będąc bezdzietnym, pragnął, aby cała okolica korzystała z jego fortuny i niejeden z sąsiadów ma ważne powody do opłakiwania jego przedwczesnego zgonu. Donosiliśmy często na tych szpaltach o jego hojnych ofiarach na instytucje publiczne.

Śledztwo nie wyjaśniło dotychczas okoliczności towarzyszących śmierci sir Karola. Krążą tu najdziwniejsze legendy, przypisujące ów nagły zgon działaniu sił nadprzyrodzonych.

Sir Karol był wdowcem, uważano go powszechnie za dziwaka. Pomimo dużej fortuny, miał przyzwyczajenia proste, skromne. Personel służbowy w Baskerville Hall składał się z kamerdynera, nazwiskiem Barrymore, jego żony, kucharki i gospodyni w jednej osobie. Oboje zeznają, że zdrowie sir Karola w ostatnich czasach było nietęgę, że rozwijała się w nim choroba serca, objawiająca się bledością, brakiem tchu i częstymi omdleniami. Doktor Jakub Mortimer, przyjaciel i domowy lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Sir Karol Baskerville zwykł był co wieczór, przed pójściem na spoczynek, przechadzać się po słynnej alei wiązków przed zamkiem. Małżonkowie Barrymore opowiadają, że wieczorem 4 maja ich pan oznajmił im, że nazajutrz wyrusza do Londynu i kazał pakować kuferek.

Owego wieczoru wyszedł, jak zwykle, na przechadzkę, wśród której wypalał cygaro.

Z tej przechadzki już nie powrócił.

O dwunastej Barrymore, widząc drzwi frontowe jeszcze otwarte, zaniepokoił się, i wzięwszy latarnię, poszedł szukać swego pana. W ciągu dnia deszcz padał, więc łatwo było dojrzeć ślady stóp sir Karola wzdłuż alei. W połowie drogi jest furtka, prowadząca na łąkę.

Były ślady, że sir Karol stał przy niej przez czas pewien, następnie skreślił znowu w aleję. Znaleziono jego trupa na jej końcu.

Pomiędzy innymi dotychczas nie wyjaśniono jednego faktu, wynikającego z zeznań Barrymore'a, a mianowicie, że ślady kroków jego pana zmieniły się z chwilą, gdy stał przy furtce i że odtąd szedł na palcach.

Niejaki Murphy, Cygan, handlujący końmi, znajdował się wówczas na łące, w pewnej odległości od nieboszczyka, ale sam przyznaje, że był pijany. Powiada, że słyszał krzyki, ale nie może określić, skąd wychodziły.

Na ciele sir Karola nie było śladów przemocy lub gwałtu, a chociaż lekarz zeznaje, że wyraz twarzy nieboszczyka był tak zmieniony, że on, doktor Mortimer, w pierwszej chwili poznać go nie mógł, rzeczoznawcy tłumaczą to aneurysmem serca, przy którym zachodzą podobne objawy.

Sekcja wykazała przedawnioną wadę serca, sędzia śledczy potwierdził badanie lekarskie. Pożądanym jest, aby spadkobierca sir Karola mógł objąć jak najprędzej majątek i prowadzić dalej chlubną działalność, przerwaną tak nagle i tak tragicznie.

Gdyby prozaiczne orzeczenie sędziego śledczego i rzeczoznawców nie положиło końca romantycznym historiom, krążącym na temat owej śmierci, niełatwo byłoby znaleźć właściciela Baskerville Hall.

Domniemanym spadkobiercą jest pan Henryk Baskerville, syn młodszego brata sir Karola. Ów młodzieniec przed kilku laty wyruszył do Ameryki. Zarządzono poszukiwania. Dowie się on zapewne niebawem o zmianie swojego losu”.

Doktor Mortimer złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni, mówiąc:

– To są fakty powszechnie znane.

– Dziękuję panu za zwrócenie mojej uwagi na sprawę istotnie ciekawą – rzekł pan Holmes. – Czytałem o niej, co prawda, w dziennikach, ale w owym czasie byłem zajęty kameami, które zniknęły z Muzeum Watykańskiego. Chciałem się przysłużyć papieżowi i straciłem z oczu to, co się jednocześnie działo w Anglii. Ten artykuł, powiadasz pan, zawiera fakty, znane powszechnie?

– Tak.

– Zechciej więc pan uświadomić mnie teraz o tym, czego nikt nie wie.

Sherlock Holmes oparł się o poręcz fotelu i znowu złożył ręce tak, aby palce stykały się końcami.

– Uczynię to – rzekł doktor Mortimer, zdradzając coraz większe wzburzenie. – Powiem panu to, czego nie mówiłem jeszcze nikomu. Zataiłem to przed sędzią śledczym z pobudek, które pan zapewne zrozumie. Jako człowiek nauki, nie chciałem zdradzać się publicznie, iż wierzę w przesady. Dalej, rozumiałem, że gdyby utwierdziła się wiara w nadprzyrodzone siły, rządzące w Baskerville Hall, nikt nie zechciałby objąć starego domu w posiadanie. Dla tych dwóch powodów nie zeznałem przed sądem wszystkiego, co wiem, albowiem nie zdałoby się to na nic sędziemu śledczemu, ale z panem będę zupełnie szczerzy.

Okolice jest mało zaludniona, rezydencje rzadkie, a siedziby włościańskie rozrzucone na znacznej odległości od siebie.

Widywałem często sir Karola Baskerville, który był spragniony towarzystwa. Oprócz p. Franklanda w Lafter Hall i naturalisty⁴, p. Stapletona, w pobliżu nie ma ludzi inteligentnych. Sir Karol był skryty, małowówny. Zbliżyliśmy się z powodu jego choroby, przy tym łączyły nas wspólne upodobania naukowe. Przywiózł wiele ciekawych wiadomości z Afryki Południowej. Spędziliśmy niejedną miłą wieczór na rozprawach o anatomii porównawczej.

W ciągu ostatnich paru miesięcy spostrzegłem, że system nerwowy sir Karola był nadwężony. Wziął tak dalece ową legendę do serca, że choć co wieczór odbywał spacer, nic go nie mogło skłonić do wejścia na łąkę po zachodzie słońca. Prześladowała go wciąż obawa upiórów i pytał mnie nieraz, czym nie widział jakiego dziwnego stworzenia i czym nie słyszał szczekania. Te pytania zadawał mi zawsze głosem drżącym.

Wraziła mi się w pamięć jedna z moich wizyt u niego przed trzema tygodniami. Stał w sieni. Gdym schodził z wózka⁵, spostrzegłem, że patrzy poprzez moje ramię ze strachem w oczach. Odwróciłem się i spostrzegłem jakiś kształt dziwny, podobny do dużego, czarnego cielenia. Przeleciało to poza moim wózkiem.

4 naturalista – tu w znaczeniu: przyrodnik, badacz.

5 wózek – tu w znaczeniu: powóz, zaprzęg.

Sir Karol był tak wzburzony, że poszedłem szukać tego osobliwego zwierzęcia. Ale nigdzie go nie było. Mój pacjent nie mógł się uspokoić. Zostałem z nim przez cały wieczór i wtedy, tłumacząc swe wzburzenie, opowiedział mi całą tę historię.

Wspominam o tym drobnym epizodzie, gdyż nabiera on znaczenia wobec tragedii, która potem nastąpiła; na razie nie przywiązywałem do tego wagi i dziwiłem się wzburzeniu sir Karola.

Miał jechać do Londynu z mojej porady. Wiedziałem, że jest chory na serce i że ciągły niepokój źle wpływa na jego zdrowie. Sądziłem, że parę miesięcy spędzonych na rozrywkach uwolni go od tych mar i przywidzeń. Nasz wspólny przyjaciel, pan Stapleton, był tego samego zdania. I oto wynikło nieszczęście.

Zaraz po śmierci sir Karola kamerdyner Barrymore wyprawił do mnie *grooma*⁶ Perkinsa; przybyłem do Baskerville Hall w godzinę po katastrofie. Zbadałem wszystkie fakty, przytoczone w śledztwie. Szedłem śladami, pozostawionymi w Alei Wiązów, obejrzałem miejsce przy furtce, gdzie sir Karol zatrzymał się, i zmiarkowałem, że od owego miejsca szedł na palcach i że nie było śladu innych kroków, oprócz późniejszych, Barrymore'a. Wreszcie obejrzałem starannie zwłoki, które pozostały nietknięte do mego przybycia.

Sir Karol leżał na wznak z rozciągniętymi rękoma, twarz była tak zmieniona, że zaledwie mogłem ją poznać. Na ciele nie było żadnych obrażeń. Ale Barrymore w toku śledztwa uczynił jedno zeznanie fałszywe. Powiedział, że nie było żadnych śladów dokoła trupa. Niepostrzegł ich, ale ja dostrzegłem – zupełnie świeże, w pobliżu.

– Czy ślady kroków?

– Tak.

– Męskie czy kobiece?

Doktor Mortimer patrzył na nas przez chwilę dziwnymi oczyma, wreszcie odparł szeptem:

– Panie Holmes, były ślady kroków... psa... olbrzymiego.

6 *groom* (ang.) – stajenny, parobek.